

Ewa Kubiak

## Upały

2013 to zły rok. Są to niespokojne czasy, kiedy w ciągu jednego tygodnia abdykuje papież Benedykt XVI, na Rosję i Kubę spada deszcz meteorytów, eksperci badający przyczyny katastrofy prezydenckiego samolotu podają, że brzoza o którą zahaczył Tu-154 miała dokładnie wysokość 666 centymetrów, a miarą wolności jednostki jest już tylko nieposiadanie konta na Facebooku.

Za trzy dni będzie najgorętszy dzień tego roku. Piekło. Tak przepowiadają w radiu i telewizji. Mówią, żeby nie wychodzić z domu, jeżeli nie trzeba. Stoimy w kolejce po piwne ścieki, które wypijamy bezmyślnie w celu zabicia czasu pomiędzy jednym koncertem a drugim oraz w ich trakcie. Im więcej wypijam tym mniej czuję, ale nie w tym pożądanym sensie, tylko tak jakoś obok. Czuję się nieskończenie pojemna i niezłomna. Czekam na upał, który mnie zabije. Właściwie piję, żeby szybciej minął czas i żebym mogła już iść do domu. Jeszcze trzy i pół godziny. Ludzie nie doceniają ciszy. Cały czas coś musi grać, jakaś treść musi wypełniać ich uszy. Czasem tak jest dobrze - kiedy jest aż nazbyt pusto, wtedy jest to jak watka, którą wkłada się do ucha, żeby zagłuszyć brak treści. Ale w dni, kiedy myśli obiecująco kiełkują i ugniatają sklepienie czaszki, słuchanie muzyki jest chyba przesadą, zbytkiem, który kieruje myślenie na złe tory, na zwodnicze meandry. Tyle się traci słuchając muzyki w takich momentach. Rozproszenie i nie zaistniałe impulsy, które dźwięk kradnie, wpychając się w ich miejsce. A dziś akurat mam ten dzień, kiedy potrzebuję mieć wolne w głowie, już ilość ludzi dookoła jest przytłaczająca, a jeszcze do tego cztery sceny, to już jest ponad moje wszystkie zwoje.

Przez chwilę podoba mi się muzyka, której nie znam. Leżę w ciemności na trawie, jestem sama, zgubiłam wszystkich. Czuję ten znajomy przyływ ekscytacji spowodowany samotnością. Dreszcz zbiega po stopniach kręgosłupa aż do wzdrygnięcia radości i niepokoju. Jeżeli się upiję i pójdę spać w krzaki, to nikt mnie z nich nie wyciągnie, jeżeli w alkoholowym amoku zapomnę nazwisko tego węgierskiego pisarza od szatana i melancholii, to nikt mi go nie przypomni i myśli będą dokonywać samookaleczeń na materiale pamięciowym i w miarę coraz głębszych odwiertów myślowych, tym bardziej będę oddalać się od odpowiedzi i nigdy mi się to nazwisko nie przypomni. To są minusy samotności - brak oczywistych odpowiedzi. Przed zaśnięciem powstrzymuje mnie tylko perspektywa wstania, przebudzenia w ubraniu przemokniętym rosą, wyprostowania się i długiej drogi do domu. Po co ludzie sobie robią takie rzeczy? Śnią mi się na jawie teleporty. To jest to płytkie śnienie, kiedy brodzi się w majakach po kostki, że ja przecież nie śpię i to wszystko jest naprawdę, ale jednak widzę rzeczy, które normalnie tak się nie łamią. Trawa to sztafeta do sceny, a korzenie? Ludzie są bulwami wrastającymi w ziemię, wszystko robią źle. A to mi się kojarzy z obrazkiem z książki Sutiejewa, ze sceną która dzieje się pod maleńkim grzybem, który pod wpływem deszczu rośnie i wszyscy, cały festiwal się pod niego mieści. Rzadki i płytki sen kojarzy mi się z prostą algebrą, wszystko się zgadza, to są oczywistości wynikające jedna z drugiej. Nie jestem w stanie tego udowodnić, to się dzieje tylko

na poziomie kostek u nóg, potem albo się wypada w normalne dzianie się, albo wpada się głębiej w surrealizm, u mnie przynajmniej. Na tej cienkiej błonie nie da się ustać.

\*\*\*

Przez ten najbardziej lepki kawałek wakacji siedzimy w domu. Ludzie, ludzie. Gadają, śmieją się, piją, jedzą. Mają letnie zapachy, duszne ciała i klejącą się skórę. Ja też to mam. Poza tym za mały i słaby wentylator. Może gdyby mocno dmuchnąć w jego stronę, to dawałby lepiej radę, może by się rozpedził i zawiął, ale nie sprawdzam, żeby nie popsuć. Wciskam guzik nadmuchu na trzy strony. Ciężko to idzie. Wykonuje rytmiczny odgłos; szum, stuk, szum, szum, stuk, szum, szum, stuk. Łatwo przy tym zasnąć. Następne dwa dni siedzę, leżę i śpię koło tego wątego wiatraka, przysłuchuję mu się, potem przyzwyczajam i przestaję go słyszeć aż nagle znowu: stukot kulawego ruchu umęczonych, plastikowych ramion. Dawno z niczym nie było mi tak dobrze. Stresują mnie tylko nawracające obawy, że on zaraz się popsuje. Jak zamykam jedno oko, to widzę wyraźnie każde ramię z osobna, taki jest słaby. Potem zasypiam.

Kiedy byłam mała, zasypiałam przy śpiewie mamy; nuciła mi na dobranoc pieśni partyzanckie i maryjne. Lubiłam słuchać jej głosu, ale nie rozumiałam o czym śpiewa; „ociemniałym podaj rękę, niewytrwałym skracaj mękę”. Nie wiedziałam kim są ociemniali, ale bałam się, że jestem niewytrwała. I dopóki myślałam, że chodzi o rękę, a nie mękę, modliłam się, żeby to przynajmniej była lewa. Potem było gorzej. Wtedy, kiedy znałam już więcej słów i tekst który wcześniej utrwalił mi się w głowie jak paciorek, nic nie znacząca wyliczanka wyrazów, nagle przy chwili przedśennego olśnienia nabierał sensu i znaczenia. Wtedy widziałam niewytrwałych wchodzących na zielone wzgórza i niedających rady. Zieleń wzgórze była szara, tylko w domyśle zielona, bo wyobrażałam ją sobie nocą, leżąc w łóżku. Ta trawa była takiego samego koloru jak reszta ciemności w pokoju, ale nie pamiętam czy to oznaczało, że była czarno-biała, czy że była po prostu zielenią w cieniu. Wydawało mi się, że wchodzenie pod górę jest proste i denerwowało mnie, że ocieniali nie dają rady; przecież wystarczy pobiec. Ale tak było w piosence i nigdy nikogo nie dało się uratować, tekst pozostawał zawsze taki sam; mama nigdy nie zaśpiewała inaczej. Dzisiaj dośpiewałabym za nią zwrotkę, wszystko by się dało uratować. Ale wtedy to było trochę jak oglądanie filmu po raz kolejny, kiedy wiadomo co się stanie, ale zaklinamy bohatera, żeby jednak zmienił bieg wydarzeń i zrobił coś inaczej. Czasem mama śpiewała: „dziś do ciebie przyjść nie mogę, zaraz idę w nocy mrok”. Pięknie śpiewała, właśnie tak, jakby wyświetlała mi film. Wysoko i cierpko; „po co ci kochanie wiedzieć, że do lasu idę spać, dłużej tu nie mogę siedzieć na mnie czeka leśna brać”. Przy „kości moje mchem porosną i użyźnią ziemi szmat” myślałam, że chodzi o szmaty. Dziś znowu tak myślę. Od figuratywnej dosłowności do *vanitas* nie było znowu tak daleko.

\*\*\*

Wieczorem, najgorętszego dnia roku, idziemy pod bloki z chrupkami i ciepłym winem. Murek parzy mnie przez spodenki, które są prawie majtkami, żeby było mniej, ale wciąż przyzwoicie. Kiedy mrużę oczy, to te wszystkie rozświetlone bloki i drżące upałem ciemno które fałszuje obraz, wyglądają jak wielkie miasto, w które chce się iść, pooglądać nowych ludzi, zobaczyć lepsze, iść w cokolwiek. Zjeść dobre jedzenie i wyschnąć z potu. Ale kiedy otwieram normalnie oczy, to widzę tylko bar Domino na drugim piętrze bloku numer 18, gdzie wciąż sprzedają piwo za 4 złote i gdzie nad barem mają kolorowe żarówki. Kiedy mam otwarte oczy, to jest to co jest. Znowu je mrużę i jestem prawie w Hollywood, a we włosach tlenionej barmanki

mienia się wszystkie kolory znad lady i urzeka mnie jej tanie piękno. Otwieram oczy na oścież i rozpoznaję w niej mamę kolegi z podstawówki.

\*\*\*

Jest tak wcześnie, a ja jestem już pijana. Chociaż nie aż tak, jak powinnam być po butelce wina. Papierosy i waciki nasączone octem, żeby złagodzić swędzenie po ugryzieniu komarów. Czy komar może ugryźć dwa razy w to samo miejsce? Swędzą mnie też stare ukąszenia, te z zeszłego roku, wszystkie życiowe ukąszenia puchną tak, żebym zajęła jak najwięcej miejsca w moim za dużym pokoju, żebym mogła się usprawiedliwić z tak dużej przestrzeni. Moja krew jest wyjątkowo dobra. Mam cętkę przy cętcie, jak błada pantera. Nikt tak nie ma. Każdy komar chce się napić. Każdy kawałek mojego ciała, nawet jego nieatrakcyjne elementy są dla nich dobre, ciepłe i zdrowe. Nawet chore fragmenty skóry albo pryszcze dobrze im robią. Być może mogłabym z tego żyć, z tej dystrybucji, gdyby wszystko było inaczej urządzone, gdyby świat był inny i gdyby komary były ważne. Miałabym przywileje, też bym coś znaczyła. A tak, pozostaje mi mordować je, rozgniatą, rozplaszczając gazetą na ścianie ich napęczniałe od krwi brzuszki, a potem ścierać ze ściany krew moją i pewnie sąsiada. Konstruuje przeciąg; otwieram na oścież okna i drzwi, żeby rozniosło mieszkanie, żeby zawiało, chcę rozpętać burzę, żeby nasz dom się rozsypał, żeby szczeł. Żeby łopotały okna, żeby drzwi roztrzaskały wszystkie komary.

Przypomina mi się odgłos drzwi na Wildzie. I na Matejki. I na Garbarach, nie pamiętam innych. Może powagę zasiedzenia w mieszkaniu, można mierzyć znajomością dźwięku drzwi. Na Wildzie dobrze wiem jak to brzmiało, ale jak tata wchodził to było inaczej niż jak mama, choć brzmiało niby tak samo. Było wiadomo, kiedy się bać. To samo z mieszkaniem przy ulicy Matejki. Nie bardzo lubię ten dźwięk chyba, że oznacza, że ktoś wychodzi. Garbary. Właściwie pamiętam tylko zamykanie, zatraskiwanie. A otwierały się same, na skutek drżenia kamienicy; na przykład kiedy gruby sąsiad szedł po stopniach i klatka schodowa rezonowała jego ciężkim krokiem. Na początku myśleliśmy, że to duchy – ja byłam przodowniczką tych spekulacji. Po kłamstwach młodszej siostry, że lalki się ruszają jak nie patrzymy, w końcu natrafiłam na coś – na samootwierające się drzwi. Przeprowadziliśmy ekspertyzę, dwoje na schodach równało się jednemu grubemu sąsiadowi, ale nie było żadnych duchów. Więc znowu nastąpiła nuda, dym ze smażonej cebuli, dymne łyzy, robienie jedzenia i wróżby z fusów w zlewozmywaku.

\*\*\*

Mam 27 lat, ale nie czuję się młoda. Jeżeli umrę jutro, to jestem już bardzo stara. Jeżeli za 50 lat, to jeszcze pożyję. Wszystko zależy od śmierci. Moja babcia się martwi, że niedługo umrze. Staram się ją rozumieć; strach i coraz większa samotność, bo babcia wygrywa w te szachy ze wszystkimi których zna, ale i tak ja mam gorzej. Nawet jeżeli ona umrze za tydzień to wciąż będzie miała przeżyte 86 lat. Jeżeli ja umrę za tydzień to niechybnie będzie to miało znamiona tragedii. Wczoraj na skrzyżowaniu św. Marcina z Alejami Niepodległości widziałam na ulicy rozlaną krew, a dzisiaj były już znicze. Przechodząc przez ulicę musiałam podeptać ślady krwi przysypane sorbentem. Gdyby uszanować każde miejsce śmierci, to już nie byłoby jak chodzić. Ludzie giną na środku ulicy, umieranie nie jest wybredne, wystarczy mu koniec. Idąc ulicą wypatruję potencjalnych śmierci; są wszędzie. Wstając z łóżka podejmuję próbę samobójczą; wszystko w mieszkaniu jest stare, naelektryzowane, rdzawe i zanieczyszczone. Chodnik to wielka dziura z zaledwie fragmentami zachowanych płyt, krzywe pasy, szczerbate dachówki, wszędzie wariaci, psychopaci i idioci, którzy dybią na mnie za jasna i za ciemna. Za jasna – bo to

takie nieoczywiste, za ciemna – bo łatwe. Codziennie, ledwie o włos udaje mi się ująć z życiem; to taki rodzaj wojny wyrosły z dobrobytu. Grozi mi przyzwoita śmierć.

W dzieciństwie mój ojciec, kiedy tylko słyszał kondukt pogrzebowy, biegł do cmentarnej kaplicy i stawał jak najbliżej odkrytej trumny, bliżej nawet niż krewni, żeby móc jak najlepiej przyjrzeć się zwłokom. Może to jest rodzinne. Nie rozumiem dlaczego nauka nie studiuje pośmiertności. Czy coś w końcu jest po śmierci, czy nie? Dlaczego wciąż nie wiadomo na pewno, że nie? Dlaczego ludzie zajmują się głupotami, a nie wiedzą najważniejszej rzeczy?

U nas w rodzinie na wszelki wypadek dba się o życie pośmiertne. W święto Wszystkich Świętych, babcia i ciotka pilnują odpowiedniego doboru wieńca i świeczek. Chodzi o trafne zestawienie kolorystyczne i estetyczne. Nad grobem toczą się długie dyskusje na temat rozmieszczenia na płycie nagrobnej tej kupy plastiku, warianty kompozycyjne są roztrząsane w nieskończoność. Ledwo by starczyło życia wiecznego, a trzeba się spieszyć. Do oblecenia jest zawsze kilka grobów, bliższej i dalszej rodziny, spowinowaconych i bohaterów plotek. Musi starczyć mszy. Zapalamy znicze zapałkami, pod wiatr. Dla dalszej rodziny tańsze i bez zabezpieczenia przed gaśnięciem. Potem idziemy do restauracji i tata zawsze denerwuje się na mnie, że chcę tylko frytki, a ja po prostu lubię tylko frytki.

Dziadek Ryszard pracował na kolei. W salonie, za oszklonym kredensem, ustawiał małe modele pociągów. Prababka wołała mnie czasem do swojego pokoju, który cały przesiąknięty był starością, w którym czuć było jej powolne gnicie. Wyciągała zamotaną gdzieś, papierową torebkę z czekoladowymi gwiazdkami i wysypywała mi je na rękę. Topniały szybko. Gdy umarł dziadek - w upalny czerwcowy dzień, psując mi całe wakacje - ojciec przeraził się. Cały dom ucichł i pojawił się w nim czosnek. Ojciec bał się, że umrze tak jak dziadek i żeby się przed tym uchronić, zaczął jeść czosnek w ogromnych ilościach. Pochłaniał całe główki, jadł go gryząc jak jabłko lub dzieląc na cząstki jak pomarańczę. Jadł surowy, gotowany, w łupinach i bez. Jadł tylko czosnek.

Postanowiono, że dziadek zostanie spalony. Wiem, że mówi się „skremowany”, ale to słowo nie wydaje się przekazywać sensu proceduru. Mogliśmy go przedtem zobaczyć; leżał ściśnięty w zbyt małej trumnie z surowego drewna, która była za droga jak na to czym była. Dziadek był czerwono-sinawy na twarzy, a na czole miał siniec. Mój ojciec zdenerwował się, chciał wiedzieć skąd ten siniak. Poczekalnia do czekania aż dziadek spłonie, była stylizowana na smutny i uroczysty klimat. Płonęły elektryczne świece, a z głośników nadawano polifoniczne melodie żałobne. Nie mogłam oderwać oczu od szlaczków na tapicerce krzeseł. Od razu wiedziałam, że ten deseń zapamiętam na długo. Czułam się niezręcznie w tej poczekalni. Miałam tłuste włosy i za krótkie spodnie. Spomiędzy nogawek i wielkich buciorów świeciły blado moje chude łydki. Było to nie do zniesienia. Miałam chyba 14 lat.

Z pogrzebu pamiętam tylko zapach odtajającego, przetrawionego, wydzielanego przez skórę ojca czosnku i jednego ministranta, który mi się podobał. Cały kościół cuchnął czosnkiem i strachem ojca. Smutno cuchnął. Żałowałam ministrantów i księdza. W pewnym sensie podpisywałam się pod tym smrodem, ale było mi za niego wstyd.

W spoconym domu kładę się w mokrej pościeli; próbuję się nie utopić w mazi zatęchłego snu i nie rozłożyć za życia.